

Marek Ławrynowicz

Kino „Szpak”



Kino „Szpak”



Marek Ławrynowicz

Kino „Szpak”

Jirafa Roja
Warszawa 2008

© Copyright by Marek Ławrynowicz, 2008

© Copyright by Jirafa Roja, 2008

Redakcja:

Łukasz Gołębiewski

Zdjęcia na okładce:

Honorata Kawecka | Dreamstime.com

Ana Sousa | Dreamstime.com

Zdjęcie autora:

Agnieszka Herman

Projekt okładki, łamanie:

Tatsu 

tatsu@tatsu.pl

ISBN 978-83-62948-25-3

www.jirafaroja.pl

Wydanie II zmienione

Warszawa 2008



Spis treści

Kino „Szpak”	9
Uciekinierzy	
Stary Borówa	13
Rysiek	21
Wiśnia	27
Tiutaj	36
Kazio Francuz	44
Stara Poldka	49
Ślepy Dziadek	62
Raj	67
Władcy	
Mielony	75
Fryś	84
Prostak	89
Wiesław	96
Pałac Mostowskich	102
Wilk	111
Kres	115
Dziewczyny	
Narzeczona Ziantka	121
Ewka	129
Zbójna Góra	136
Maria	141
Happy Endy	
Solo	145
Strych	148
Stary Borówa odjeżdża	150
Epilog	153

*mojej żonie Kasi
Józkowi Kurylakowi*

*oraz
Poldkowi
Ziantkowi
Borówie
i Szpuntowi*

KINO „SZPAK”

Stoimy z Józefem w kinie „Szpak”. On w kasie biletowej, ja, w trzecim albo czwartym rzędzie. Józef drepcze po kasie, jakby szukał kogoś, kto mu sprzeda bilet. Ale kasy już nie ma, ani ekranu, ani rzędów skrzypiących krzeseł, rozpadła się kabina projekcyjna, zbutwiały witryny, w których wieszano kiedyś plakaty. Stoimy na gruzach, wśród pokrzyw i kępek wyleniającej trawy. Z zewnątrz kino jeszcze istnieje, jest mur, drzwi prowadzące do holu, choć po klamce pozostał tylko poszarpany otwór. Po tej stronie rumowisko. Pokazuję Józefowi, gdzie zwykle siedziałem; gdzie Bumcek, gdzie Borówa. Rozwieram ramiona, by mu uzmysłwić, jak duży był panoramiczny ekran. Prowadzę w kąt poczekalni, gdzie dyskretnie pijano tanie wino zwane jabolem. Ale Józef ma własne sprawy w moim kinie. Wraca do kasy. Podejrzewam, że gdy mu powiedziałem, dokąd jedziemy, coś sobie wymyślił i właśnie kasa biletowa jest mu do tego potrzebna. Józef jest poetą i zawsze szuka tego, co innych ludzi zupełnie nie obchodzi. Pewnie ukryty za szczątkami okienka ogląda film, którego nie chce mi pokazać, ale nie dbam o to, bo ja oglądam mój tu na widowni, stojąc dokładnie na miejscu dziesiątego krzesła w trzecim rzędzie i mając po lewej stronie Borówę, a po prawej Ziantka.

W domu za rumowiskiem otwarło się niespodziewanie małe okienko i ukazała się w nim twarz chudego staruszka. Przygląda się nam natarczywie, pewien, że jesteśmy tu ze względu na niego, przeciwko niemu, jakieś grube chcemy mu zrobić świństwo, więc staruszek daje nam do zrozumienia, że nas

przejrzał i żebyśmy sobie nie myśleli, że nam się uda. Jeśli przyszedliśmy tu na rumowisko, będące kiedyś kinem „Szpak”, po jego długo zbierane oszczędności, to musimy wiedzieć, że on ma liczyć sąsiadów, także staruszków, i że wszyscy będą bronić swych oszczędności do ostatniej kropli krwi. Powinienem pójść do niego i powiedzieć, że nie mamy złych zamiarów, że Józef jest poetą i nigdy nie robi krzywdy staruszkom, że jesteśmy obaj w podróży sentymentalnej, która nie chce się skończyć. Jeździmy moim starym samochodem i szukamy niedysiejszych śniegów. Chodzimy po istniejących kiedyś ulicach i wypytujemy ludzi, czy kogoś kiedyś nie znali, czy nie widzieli pani takiej a takiej, albo pana, a oni nigdy nic nie pamiętają, patrzą na nas zdziwieni, podejrzewając — jak ten staruszek — że chcemy im zrobić coś złego. Powinienem też wyjaśnić, że tak naprawdę nie szukamy żadnych kobiet i mężczyzn, tylko samych siebie, bo zgubiliśmy się sobie po drodze, nawet nie zauważając kiedy, i wydaje nam się, że to nasze zgubione ja mieszka tam w minionym czasie i gdyby odnaleźć ten czas i ono odnalazłoby się cudownym sposobem. Ale czas, przecież minął, nie ma go i nie będzie, są tylko ruiny kina „Szpak” i wiszące na skrawku muru okienko kasy biletowej. Nie ma nikogo, kto sprzedałby Józefowi bilet na film, który sobie wymyślił. Nic nie ma, oprócz staruszków, którzy nie pamiętają nikogo i niczego. I jest jeszcze nasza podróż sentymentalna — rdza na samochodzie, drogi, stacje benzynowe, fragmenty murów, pokrzywy, nerwowo biegające pająki. Jeśli nawet istnieje ten film, który Józef sobie wymyślił, to i tak nie ma i nie będzie już nigdy kina, które mogłoby go wyświetlić. I nas też nie będzie, bo przecież nie znaleźliśmy siebie wśród pokrzyw i stacji benzynowych, przeminęliśmy na zawsze. Nie ma podróży sentymentalnych, są tylko wyprawy donikąd.

UCIEKINIERZY

STARY BORÓWA

Po pierwsze, musisz wiedzieć, Józefie, że na ulicy Margerytki słońce wschodziło nad dachem Borówy, a zachodziło za dach Szpunta. Dzięki temu byliśmy zawsze w środku dnia. Borówa rzucał długi cień, ja krótki. Czasem dołączał cień Poldka. Czasem Ziantka. Czasem nikomu nie chciało się iść i słońce panowało bez przeszkód nad ulicą.

Kim wtedy byłem? Argonautą, Ikarem czy zwykłym chłopakiem z Falenicy, jak moi kumple? Czy myśmy wtedy czegoś pragnęli, za czymkolwiek tęsknili, czy tylko przesuwaliśmy się wraz ze słońcem od Borówy do Szpunta, zgodnie z porządkiem świata? Nie pamiętam.

Wiem, że o świcie pierwsze światło zapalało się w oknie starego Borówy, a w chwilę później w ciszy rozlegał się doniosły, cerkiewny chór. Zapalało się światło w oknie Borówowej, słyhać było wrzask, zaciekle jazgotanie, trzask drzwi — i chór milkł gwałtownie. Wtedy zapalały się światła w następnych oknach, jedno po drugim, aż do końca ulicy.

Rodzice mojego kumpla Borówy byli, Józefie, najdziwniejszym małżeństwem na świecie. Łączyło ich tylko jedno — oboje mieli po sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Stary Borówa był chudy jak patyczek, gdy szedł ulicą Margerytki w wietrzny dzień, pochylał się komicznie na boki, a czasem chwytął się latarni i odpoczywał. Głowa opadała mu nieustannie na ramię, robił wrażenie zawstydzonego swoim wzrostem, zapewne zrobiłby wiele, żeby się zmniejszyć i zniknąć z oczu.

Jedyne, za co mieszkańcy ulicy Margerytki cenili starego Borówę, to motocykl marki „Junak”, którym odjeżdżał od czasu do czasu, kurczowo trzymając się kierownicy.

Nie do uwierzenia, że stary, nieśmiały Borówę zakochał się kiedyś w Borówowej i spłodził z nią Borówę.

Teraz kochał tylko chóry cerkiewne. Pudełka z taśmami wypełniały cały jego pokój, do każdego była przyklejona karteczka z dokładnym opisem. Stary Borówę mógł mówić godzinami o chórach cerkiewnych, ale nikt go, Józefie, nie chciał słuchać. Siedział więc biedak w domu i sam sobie opowiadał o chórach, cerkiewnej architekturze, popach, popadiach, diakonach. Mówił szeptem, tak że trudno było rozróżnić słowa. Wyglądało to na zaklinanie, zamawianie. Cała ulica współczuła staremu Borówie.

Było też komu zazdrościć, bo w pół drogi między Borówą a Szpuntem mieszkał mistrz szabli Pawłowski, za którym biegliśmy nieraz, gdy sunął ulicą swym eleganckim, delikatnie szumiącym mercedesem. Tak to sąsiadowały ze sobą upadek i sukces.

Borówowa... Gdybyś, Józefie, jak ja mógł w młodości widzieć Borówową, być może nie byłbyś teraz poetą, tylko podróźnikiem, wędrowcem, uciekinierem. Nie dość, że miała sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ale była gruba, masywna, monstualna. Gdy szła na swych kłocowatych nogach, ziemia drżała.

Borówowa była salową w szpitalu Przemienienia Pańskiego i codziennie przejeżdżając tramwajem obok praskiej cerkwi, publicznie wygrażała jej pięścią.

Była przekonana, że w prawosławnych chórach ukrywa się diabeł sprzymierzony ze starym Borówą. Dlatego obwiesiła ściany swojego pokoju różnej wielkości krucyfikсами. Dziesiątki cierpiących Chrystusów patrzyło na siedzącą na łóżku Borówową, która jeszcze niepewna swego, głośno odmawiała różaniec.

Ale i to nie zapewniło jej spokoju, bo za ścianą cichutko, ale nad podziw konsekwentnie śpiewał chór, a gdy milkł, dobiegał stamtąd dokuczliwy szept. Borówowa dostawała histerii, pędziła do pokoju męża, wrzeszczała i waliła pięścią w magnetofon. Stary Borówa zmykał z domu na piechotę albo motocyklem marki „Junak”, jeśli mu się bardziej spieszyło.

Zawsze biegłem wtedy do płotu, żeby powiedzieć staremu Borówie „dzień dobry” i w ten sposób dodać mu otuchy.

W końcu Borówowa nie wytrzymała i poszła do proboszcza.

Nasz proboszcz, Józefie, był księdzem starej daty i nie odpychał od siebie żadnej istoty ludzkiej. Poznał natychmiast Borówową, której ogromna postać górowała w kościele nad tłumem wiernych, i widząc ją z bliska mimo woli zadrżał. Jednak przekonany, że to sam Stwórca wystawia go w ten sposób na próbę, spytał dobrotliwie, jak prawdziwy pasterz pytać powinien:

— Co cię do mnie sprowadza, dobra kobieto?

Słyszac słowa „dobra kobieto”, Borówowa wydała z siebie krótki ryk, a następnie siadła gwałtownie na zabytkowym krześle, które zatrzeszczało z przerażenia.

— A zatem — kontynuował proboszcz, nie dając się zbić z pantafiku — co cię do mnie sprowadza, dobra kobieto?

— Mąż! — powiedziała Borówowa i już miała opaść na kolana, ale zrezygnowała.

Proboszcz westchnął pobożnie.

— Pije? — spytał ze zrozumieniem.

— A gdzie tam, księże proboszczu! Najwyżej oranżadę.

— Bi... — zaczął proboszcz i urwał, bo uświadomił sobie, że trudno byłoby znaleźć mężczyznę, który mógłby bijać Borówową, więc zamiast tego spytał: — Męczy?

— Oj, męczy, kochany księże proboszczu, męczy strasznie, tak męczy...

— A w jaki sposób?

— Chórem męczy! Chórem! O popie przeklęty!

Proboszcz pomyślał, że Borówowa cierpi na rodzaj szału religijnego. Niestety nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby mu przyjść z pomocą. Zapytał więc jak najdelikatniej:

— A jakże ono męczenie wygląda, dobra kobieto?

— On ma magnetofon, proszę księcza.

— Rozumiem — rzekł proboszcz, ale nie rozumiał.

— I taśmy ma do tego magnetofonu, a na taśmach są same chóry cerkiewne. Chóry śpiewają, a on mamrocze pod nosem. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...

I Borówowa z hukiem padła na kolana.

— Wstań, moja córko, i odejdz w pokoju — rzekł ksiądz, nie próbując jednak podnosić Borówowej za ramiona.

A ona jakby tego nie słyszała. Rozszlochała się, biła się w pierś, żegnała, w końcu wydobyła różaniec i zaczęła go krzykliwie odmawiać.

Proboszcz patrzył na Borówową z wielkim niesmakiem.

— Ja tu mam interesantów, dobra kobieto — rzekł w końcu. — Odejdz w pokoju, powiadam ci!

Borówowa zerwała się z klęczek i wkroczyła wprost do sypialni proboszcza. Dopiero po długich tłumaczeniach, że „odejdz w pokoju” nie znaczy „idź do pokoju”, udało się wypchnąć Borówową na korytarz.

Jeszcze dwie godziny siedziała tam i pochlipywała, aż wreszcie, gdy proboszcz poprzysiągł jej na krucyfiksie, że zrobi ze starym Borówą porządek, poszła sobie.

Pędziła ulicą Margerytki, wiatr rozwiewał jej włosy, co pewien czas stawiała, unosiła w górę swoją ogromną pięść i groziła nią komuś. Już z daleka słyszała cerkiewny chór, który wyśpiewywał radośnie, ciesząc się z rzadkiej chwili spokoju.

Proboszcz długo myślał, jak zaradzić nieszczęściu Borówowej. Są na świecie większe grzechy niż słuchanie chórów cerkiewnych. Z drugiej strony, gdyby zdołał namówić jej mę-

ża, by słuchał na przykład chórów gregoriańskich... W tej intencji wybrał się pewnego dnia do starego Borówy.

Miłośnik chórów cerkiewnych ani myślał, że go spotka taki zaszczyt. Siedział w swoim pokoju, ubrany w żółty, nieco już podarty szlafrok. Na magnetofonie wirowała szpula z taśmą, anielskie pienia ulatywały ku sufitowi, a towarzyszył im cichy brzęk wiszącej nad Borówą gołej żarówki.

— Czy można, synu? — spytał kulturalnie proboszcz, wsuwając głowę przez drzwi.

Stary Borówa zerwał się z krzesła i gorączkowo zaczął okrywać szlafrokiem chude golenie.

— Najmocniej przepraszam... — wymamrotał. — Jestem nie ubrany...

— Nie szkodzi, synu — rzekł proboszcz, wkraczając do pokoju. — Pierwsi rodzice też nie mieli stosownego odzienia, a mimo to póki szatan nie wmieszał się do sprawy, Pan nasz znajdował w nich upodobanie.

Stary Borówa nie rozumiał, w czym proboszcz znalazł upodobanie. Przycupnął na brzeжку krzesła i czekał, co będzie dalej.

Ksiądz siadł w fotelu i zaczął rozglądać się po pokoju.

— Słuchasz, widzę — powiedział po dłuższej przerwie.

— Za pozwoleniem księdza proboszcza — rzekł stary Borówa, który uważał, że należy wyrażać się precyzyjnie. — Forma „słuchasz, widzę”, nie jest trafna, bo słuchania nie widać. Należałoby raczej spytać: „słuchasz, słyszę”.

— Coś w tym jest, mój synu — zgodził się proboszcz. — Dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę... A zatem słuchasz, słyszę?

— Słucham, księżo proboszczu.

— I słusznie, albowiem powiedziane jest: kto ma uszy, niechaj słucha. I cóż takiego słyszysz?

— Królestwo Niebieskie, księżo proboszczu. Jakbym już tam był.